

Ottawa, dnia 10 października 1997 r.

Fr Jan Sadowski, OMI
201 Lebreton Street N.
Ottawa, ON
CANADA K1R 7H9

Z Kanady po raz drugi

Niech będzie pochwalony Jezus i Maryja Niepokalana!

Zaraz pierwszego poranku o godzinie 7-ej naraziłem się na aresztowanie. Po prostu zamierzałem napić się kawy myśląc, że w „moim” domu wszystko mi wolno. Na szczęście, obudziłem ojca proboszcza, który mnie ostrzegł o niebezpieczeństwie, nauczył mnie wyłączać urządzenie alarmowe podłączone bezpośrednio z firmą ubezpieczeniową. Na drugi dzień otrzymałem odpowiednią instrukcję z numerem telefonu, gdybym przypadkowo zapomniał się i zszedł z piętra do kuchni. Problemem są zebrania na sali pod kościołem trwające dłużej, niż ja mam zwyczaj zasypiania. A w domu byłem sam. Ojciec Proboszcz przez trzy tygodnie lipca jest na rybach, potem przez tydzień popracuje na miejscowym uniwersytecie jako tłumacz (będzie Polak z Polski, który nie zna języka angielskiego) i na ryby pojedzie jeszcze w sierpniu. Okazuje się jednak, że alarm może włączyć się bez mojej winy. Tak było pewnej nocy o godzinie 2-ej. Obudziłem się, wyłączyłem syrenę i w tej chwili towarzystwo zabezpieczające nasz budynek zatelefonowało do mnie, a że porozumieć się nie mogliśmy, zatelefonowano po raz drugi i już po francusku zapytano, jaki mam numer, jak się nazywam - wszystko się zgadzało, więc radzono mi iść spać. Jednakże ja usnąć nie mogłem, obszedłem parter, piwnice, kościół i salę pod kościołem, ponownie włączyłem alarm i usiadłem na fotelu. O godzinie 3-ej usłyszałem delikatny stuk w kuchni i syrena znów się włączyła. Telefon i rada, abym położył się spać. Za godzinę to zrobiłem. A rano poinformowano mnie, że już taki alarm był spowodowany przez nietoperza, więc albo ten powrócił, albo przyszedł inny (ale jak? - we wszystkich oknach są siatki). Najgorsze było to, że następnej nocy odpowiadałem za pieniądze zebrane od Polaków na powodzian w Polsce, a alarmu włączyć się bałem: czekałem na powrót gospodarza domu (w Polsce taki ktoś nazywa się kościelnym, ale tutaj ma większy zakres obowiązków w domu, zaś mniej robi w kościele). I nie skończyło się na tych dwóch syrenach. Po czterech dniach, tym razem o godzinie 6-ej rano (w Polsce wtedy macie dokładnie południe) znów musiałem wyłączać syrenę - znam kod - i tym razem przez telefon rozmawiał już Ojciec Proboszcz, ale widocznie nie dowierzali, gdyż jeszcze zatelefonowali do gospodarza zabudowań. Wypadałoby znaleźć i wyrzucić nietoperza, ale tym razem była firanka w kuchni: przy otwartym oknie wiatr ją podniósł. Przez cały czas działają czujniki reagujące na ruch, temperaturę i dym.

A przy okazji ciekawostka. Zapoznając się z alarmowymi telefonami stwierdziłem, że tu wystarczy nakręcić tylko jeden numer i bez mówienia, dalej już wszystko idzie automatycznie: żandarmeria, straż pożarna, karetka pogotowia ratunkowego. Nawet nic mówić nie potrzeba. Zresztą, w Europie na autostradach zainstalowane telefony mają też tylko jedno połączenie. I odbierający działa w zależności od potrzeb: pogotowie ratunkowe czy techniczne albo z mandatem.

Na ulicy też miałem okazję zostać zawróconym przez policjanta, gdyż wszedłem w ulicę, przy której kilka wozów policyjnych uczestniczyło w jakiejś akcji. Nie zdążyłem się dowiedzieć. Zauważyłem tylko tyle, że ktoś filmował, ale to chyba przypadkowy turysta, a nie agent z tajnej służby.

Ostatnio napisałem bardzo dużo na temat chrześcijańskiego małżeństwa. O ile sama zasada jest jak najbardziej słuszna, to jednak mogą zdarzyć się wyjątki. Przewiduje je także Prawo Kanoniczne Kościoła Katolickiego zezwalające na separację, która w pewnych okolicznościach może wynikać z chęci zachowania wiary, a może nawet łączności z Kościołem.

Późniejsze kłopoty przeważnie są skutkiem niezdanego egzaminu z wiary w czasie poprzedzającym małżeństwo, po prostu unika się myśli o Panu Bogu czy prostej refleksji, czy „to, co ja robię, jest zgodne z wiarą, czy tylko przyjemne” - i „jak długo zapewni radość?”. I chociaż w ostatnich czasach stwierdzenie nieważności małżeństwa (od samego początku) zdarza się częściej, niż dawniej, to w Kanadzie spotkałem określenie takich ludzi mających prawo do ślubu kościelnego, że „Kościół mi przebaczył”. Jednak niektórzy dodają: „ale spokoju sumienia nie mam”. Prawnik dający wyrok korzystny dla starającego się o stwierdzenie nieważności małżeństwa nie zawsze uspokoi sumienie, gdy dana osoba w kościelnym procesie o stwierdzenie nieważności małżeństwa prosi o możliwość przystępowania do Sakramentów Świętych. Kłopoty są zazwyczaj z tego powodu, że w młodości lekceważy się, a może nawet nie wierzy się w siłę wyrzutów sumienia w wieku 35-40 lat, kiedy częściej zagłada się w sumienie, niż w lustro.

W kościele była Msza Święta z okazji 20-lecia małżeństwa. Zatelefonowała pewna pani z pretensją, że została oszukana, bo mąż (po ślubie cywilnym) przeżył z nią kilka lat i ma dwoje dzieci, po kilku latach pojechał do Polski i wrócił z żoną (z tą wziął ślub kościelny). Co jej odpowiedzieć? Pan Jezus o takiej powiedział, że on nie był jej (Samarytanka) mężem. Ja dopowiedziałem, że „w niebie jest większa radość z jednego grzesznika czyniącego pokutę”...) i ta pani obraziła się, że nie wziąłem jej w obronę. A szkoda, że nie korzystała z telefonu do parafii kilka lat wcześniej. Może teraz nie miałyby pretensji do Kościoła, że nie bierze jej strony.

Pewien polski Kanadyjczyk, czy też kanadyjski Polak, chciał powiedzieć coś miłego o pewnej chudzinie i znalazł takie określenie po polsku: „Pani jest mało gruba”. Czy to jest komplement, czy obraza? Słuchała tego chora na nogi, której nikt nie miał odwagi powiedzieć, że najlepszym lekarstwem byłoby mniej ważyć, jakieś 20 kg przynajmniej. Podczas pikniku z okazji pewnej rocznicy urodzin goście przypomnieli, że gospodyni urodziła się w tym samym roku, co gospodarz mający 50 lat i 9 miesięcy. Dziś o wiele lat młodsza od męża jubilatka ostrzegła współmałżonka: „chcesz rozwód?” Mąż zapytał: „w twoim wieku”? Jak czytacie, atmosfera była interesująca i nikt nie obraził się, nawet ta pani jego żona - która już (kiedyś) skończyła 18 lat.

Polacy przybywający do Kanady szukają pracy, to normalne. Zdarza się jednak, że pracę oferują też różne religie i sekty. Niektórzy są roztropni i zanim zapukają do drzwi z wywieszką, proszą o informację w naszym biurze parafialnym. Pewien głos w telefonie powiedział mi wprost: „boję się wpaść do jakiejś sekty”. A ja mogłem powiedzieć tylko tyle, że wyznanie-sekta o takiej samej nazwie, obok której on przeszedł, została zakazana w Niemczech, a ich przywódcy zostali postawieni przed sądem. Nie wiem jednak, czy jest to ta sama sekta, czy podobieństwo sprowadza się do nazwy? Ostrożność tego bezrobotnego świadczy o kierowaniu się w życiu wiarą. I tacy jakoś szybko potrafią znaleźć polską parafię na emigracji.

Parafianie chcieli mi zrobić przyjemność i urządzili wycieczkę do odległej o 200 km od stolicy pewnej farmy, na której w 1991 roku miała się objawić Matka Boża dzieciom, czy młodzieży, po ich pielgrzymce do Miedźgowie. Nie ma żadnego dekretu władzy kościelnej w tej sprawie, ale to nie przeszkadza, że widzi się coraz więcej różnych kapliczek, sklepików i wot, zwłaszcza wielkich różańców wieszanych przy stacjach Drogi Krzyżowej lub na Ścieżce Różańcowej. „Nie do przyjęcia” w Europie byłyby tylko krzyże z Chrystusem mającym ręce wyciągnięte ku górze: błąd jansenistów uważających, że Pan Jezus umarł na Krzyżu tylko za wybranych, nie za wszystkich ludzi. Nie znalazłem książki w języku francuskim, a po angielsku była zbyt duża, abym miał wydać przynajmniej 14 dolarów. Tutaj ceny są podane bez podatków i niejedyn raz już położyłem pieniądze odliczając według cen, a kazano mi dopłacić 7% czy 15%. „Prawdziwe” ceny są tylko przy żywności. Było nas 7 osób, jedna wyraziła żal, że nie była to forma pielgrzymki, ale ja nie mogłem tam pojechać inaczej, jak tylko w charakterze turysty. Tym razem zabrałem ze sobą tylko święcenia kapłańskie bez znaku zewnętrznego. Zwykle chodzę w koszuli kapłańskiej (z koloratką). Ale w Ottawie jest pewien ksiądz, który nawet w piłkę gra w sutannie, a w kościele odprawia po łacinie, jak przed Soborem Watykańskim, i wszystko jest w porządku z wyjątkiem tego, że współcześni łacinnicy nie rozumieją języka oficjalnego Kościoła,

czyli łaciny. I ma wiernych, którzy nawet godzinę jadą do jego kościoła i śledzą teksty w książeczkach. I jest to za zgodą Księdza Biskupa - to bardzo istotne, gdyż ci katolicy żałujący likwidacji łaciny pozostają w łączności z Ojcem Świętym.

Już nieraz zdarzyło mi się, że przez kilka lat pobytu w parafii nie poznałem okolicy czy interesującego muzeum. Mając takie doświadczenie postanowiłem zwiedzać. Zwiedziłem już pięć. Oglądałem czteropiętrowe muzeum Ziemi Kanadyjskiej: kwiaty, zwierzęta, minerały, sposoby badania ziemi i morza, a nawet byłem w statku kosmicznym czasu: przez 15 minut przeżywa się historię wszechświata. Tutaj nawet można zabawić się w kosmonautę kręcąc i przyciskając, co się da, jednocześnie obserwując reakcje w światłach, kolorach, położeniu horyzontu itp. I tu nie ma zakazu dotykania eksponatów, a np. przy wypchanych zwierzętach polarnych jest kawałek ich skóry do głaskania. Byłem też w muzeum rolniczym, aby zobaczyć dawne narzędzia i metody pracy, a także pokazać się krówkom, konikom, świnkom i innemu stworzeniu. W pięknym muzeum sztuki ujrzałem też kilka eksponatów współczesnych i stwierdziłem, że niektóre ja potrafiłbym namalować nawet ładniej. W muzeum wojskowym stojący na strażnicy przy murze berlińskim niemiecki żołnierz zapalił latarkę i krzyknął na mnie „halt!”. Oświęcim też był. W ogromnym muzeum cywilizacji byłem we wszystkich typach mieszkań nie tylko kanadyjskich. Teraz wybieram się obejrzeć złoto wartości miliona dolarów i samoloty, a i technika też chce mi się zaprezentować.

Dnia 10 sierpnia podwieziono mnie do parku, gdzie parafialny chór miał swój piknik. Tym razem nie śpiewał, ale poznałem nowe gry terenowe. Wyścigi z jabłkiem (powinno być jajko) położonym na łyżeczce trzymanej w ustach. Nagrodą było zjedzenie jabłka, więc wygrali wszyscy, tylko zwycięzca został zdyskwalifikowany, gdyż jabłko przytrzymał nosem. Rzucanie balonów wypełnionych wodą do partnera, który po każdym złapaniu balonu o krok się cofał: balon pękał przy niefortunnym złapaniu. Ja nauczyłem dwóch gier z Madagaskaru.

Tutaj potrzebny jest polski ksiądz. Poproszono mnie do chorego, 27 lat, przygotowany do śmierci wiedząc, że rak w mózgu jest złośliwy i pozostało mu trzy do sześciu miesięcy życia. Martwi się jedynie o żonę i trzyletniego synka. Choroba objawiła się niespodziewanie. Zaraz w szpitalu poprosił kapelana i spowiadał się po angielsku, ale jeszcze raz chciał się wyspowiadać u polskiego księdza. Rozmawiałem długo, była obecna rodzina. Bez rozpacz, płaczu, chociaż wszyscy wiedzieli, że tylko cud może go uratować. Pojechał do Polski na tydzień, aby pożegnać się z rodzinami, którym siły nie pozwalają na przyłot do Kanady. Jest bardzo opanowany. Na razie przychodzi, przepraszam, przyjeżdża swoim samochodem do kościoła. Przed rokiem jego szwagier zmarł w tym samym wieku i na tę samą chorobę. Kółko Różańcowe modli się o jego uzdrowienie na przyczyną brata Antoniego Kowalczyka, Oblata, który czynił cuda za życia, ale po śmierci brak cudu nie pozwala ogłosić go błogosławionym.

Pikników jest dużo, niemal w każdą niedzielę, czasem zapraszają mnie na obiad. O mnie parafianie pamiętali nawet przy dwudniowym wyjeździe autokarem, który przewiózł 60 osób pod Niagarę. Pierwszego wieczoru przez pół godziny oglądałem wodospad z góry i nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia. Drugiego dnia było lepiej, gdy widziałem go ze statku od dołu, w deszczyku i mżawce spowodowanej przez spadającą wodę. Jednorazowego niebieskiego płaszcza na pamiątkę nie wzięłem. Okazją do wyjazdu były polskie dożynki dla okolicznych parafii. My mieliśmy najdalej, 600 km, 6 godzin jazdy, plus po drodze, dla odpoczynku, zwiedzanie miniaturowych ogrodów i domów. Po raz pierwszy widziałem na miotle prawdziwą czarownicę naturalnych rozmiarów. Pewna pani sfotografowała się na jej tle uznając, że jest do niej podobna, przynajmniej z charakteru. Nocowałem w hotelu raczej turystycznym, ale zgodnie z obietnicą miałem skromny, jednoosobowy pokój, z łazienką, lodówką (pustą), telewizorem, telefonem i wieloma reklamówkami, także mapą okolic Niagary. W szufladkach znalazłem dwie książki: telefoniczną i Pismo Święte po angielsku. Kilkanaście osób miało chęć w kasynie zdobyć pieniądze, ale kolejka do wejścia była zbyt długa: tu też jest bezrobocie i młodzi szukając pieniędzy tu widzą szansę szybkiego zubożenia się. Najwięcej czasu spędziłem na katolickich

dożynkach (10 km od Niagary, w polskim parku ostatnio zagospodarowanym). Była procesja z wieńcami, w której poza dużymi i pięknymi wiankami niesiono chorągwie i symbole pracy na roli, a za księżmi siwek ciągnął karetę, w której jechali starosta i starościna, za nimi w czerwonym (ze wstydu) samochodzie przygotowano tron dla trzech misek piękności, z których najmłodsza miała 5 lat, starsze około 20 lat. Te duże miały naprawdę bardzo ładne stroje, może trochę za ciepłe, jak na 27°C. Wielu było w strojach góralskich, krakowskich, szlacheckich, harcerskich... Stroje te stawały się piękne dopiero wówczas, gdy noszący je potrafił zdobyć się na uśmiech. Po klawiaturze elektronicznych organów stukał palcami żywy i prawdziwy góral, bez żalu. Niestety, Modlitwę Eucharystyczną trzeba było odmówić po angielsku, gdyż wśród 1.200 Polaków niektórzy już nie rozumieli po polsku. Potem był obiad. Dzieci dostały przekąskę bezpłatnie. Atrakcji też było dużo: huśtawki, studnia z lizakami, loteria fantowa, prawdziwe mleko od papierowej krowy, autentycznie żywa pani kłown bawiąca się z dziećmi. Pogoda dopisała: rano przepowiedziałem deszcz pół godziny po moim wyjeździe i to proroctwo się sprawdziło. Ale w naszej parafii przed północą pogoda: niebo niemal bezchmurne. Wiadomo, w domu najlepiej. Najbliższa wycieczka będzie do Waszyngtonu, ale nie będąc imprezą religijną już tam nie pojechałem. I nie pojedę więcej na imprezy sobotnio-niedzielne. Bardziej potrzebny jestem w kościele. Niagara beze mnie też da sobie radę spadając z około 50 metrów.

Po sukcesie pierwszego pikniku ojciec proboszcz od razu postanowił urządzić piknik na pożegnanie jesieni, w dniu 7 września. Nieupalna pogoda dopisała, chociaż w sobotę i niedzielę do południa było deszczowo. Początek, jak zwykle, Msza Święta, podczas której chór im. J. Paderewskiego pomagał w modlitwie. Po Mszy Świętej polskie potrawy do kupienia w kilku „polowych” kuchniach, a na scenie zespół młodzieżowy „Akord”, odtańczony krakowiak, stare i nowsze piosenki w wykonaniu dobrych artystów, orkiestra do tańca polskiego. Wiele osób w krakowskich strojach, także za bufetem. Zbliży się ponoć bardzo tu sroga zima, więc pozostaną tylko zabawy na sali (bal przebierańców jeszcze w październiku).

Dziwnym wydaje się w Polsce zwyczaj urządzania kawiarni w sali pod kościołem (bez alkoholu, nawet piwa! Sprzedaż ciast, ciasteczek i tortów (pieczone i sprzedawane przez parafianki bez zapłaty za ich pracę) oraz możliwość wypicia kawy podoba mi się. Wypieki przypominają Polskę, a także jest to okazja do spotkań i rozmów, których dla Polaków za granicą nigdy nie jest za dużo. Latem można rozmawiać przed kościołem, ale zimą lepiej zejść do ogrzewanej sali. Z tego powodu parking parafialny okazuje się za mały, choć „zgodny z przepisami”. Po prostu wiele osób odjeżdża dopiero po rozpoczęciu się następnej Mszy Świętej. Dlatego teraz Ojciec Proboszcz stara się o pozwolenie na rozebranie jednego z domów parafialnych (rudery, w tym celu kupionej przed 8 laty). Trzeba udowodnić, że od kilku miesięcy nikt nie mieszka.

W ostatnią niedzielę miesiąca września ksiądz prof. Andrzej Szostek, Prorektor KUL-u, głosił kazania niedzielne i przez 5 dni prowadził wiele spotkań oficjalnych. Skorzystałem też dużo dzięki „prywatnym” rozmowom, nawet przy stole czy przy telewizorze. „Z obfitości serca usta mówią”, zwłaszcza, gdy serce jest pełne wiary, a umysł czerpie mądrość z Objawienia. Trzeba mieć **uszy do słuchania**, a nie tylko do **podsluchiwania**.

Zgodziłem się na towarzyszenie osobom odwiedzającym chorych. Niektórzy cieszą się, gdy się odmawia z nimi tajemnicę Różańca, inni - zadowoleni - odwiedzających trzymają rękę nie mogąc nic powiedzieć, czasami dłużej rozmawia się z osobą od kilku miesięcy czuwającą przy niemal nieprzytomnym. Kilka osób prosiło mnie o częstsze odwiedziny..., ale chorych i starszych w parafii dużo. Na szczęście, prężnie działa koło odwiedzających ludzi samotnych cierpiących, a nowi chorzy zgłaszają się przez telefon i od takich mam ich przemyślenia o cierpieniu nagrane na taśmę magnetofonową. Zacząłem przygotowywać 60-minutowe nagrania dla osób, które nie mogą uczestniczyć we Mszy Świętej. Podobnie zrobiłem z moimi listami z Madagaskaru. Przez 15 godzin czytałem głośno w swoim pokoju, a teraz słuchają mnie ludzie starsi, którym nudzi się w domu, a do kościoła przyjść już nie mogą. Chociaż niektórzy z nich w

młodości też nie chodzili. Czyżby obecnie Pan Bóg chciał ich pouczyć o znaczeniu Mszy Świętej? A może w ten sposób już na ziemi pokutują za dawne lenistwo? Takie myśli nachodzą mnie przy ludziach, o których nieraz wiem, że na czas niedzielnej Mszy Świętej nie znaleźli opiekuna dla swojego pieska. Przecież pewna pani młoda biorąc ślub w Wielkanoc (bez Mszy Świętej, bo mało wierzący goście by się nudzili) od południa Wielkiej Soboty siedziała w domu, aby jej włosy się nie potargały.

Dziś mało pobożnie kończę list. Wiem o tym, nie musicie mi tego pisać. Ale też chciałbym, aby tak zwani katolicy zrozumieli radość z uczestniczenia we Mszy Świętej, zwłaszcza całej rodziny zdolnej wspólnie modlić się, jeść obiad patrząc na wyłączony telewizor, a także odwiedzających rodzinę, znajomych, jaskinie, grotty, muzea, parki i inne miejsca przyjemnej a dobrej rozrywki. Ja czuję się pożyteczny. Krag biblijny i koło pogłębiania wiedzy religijnej przekonały mnie o tym.

*Z serdecznym pozdrowieniem
W Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. A Twoje **oczy**, Drogi Czytelniku, są do **patrzenia**, czy do **podglądania**??? A Twoje **usta** są do **mówienia**, czy do **obmawiania**???

Ottawa, dnia 25 listopada 1997r.

Szanowni Państwo!

Obecnie obrałem „komputrowy” system pisania listów. Notuję każde ważniejsze wydarzenia bezpośrednio po zakończeniu, ale listy wysyłam wówczas, gdy zbierze się 4 strony wiadomości. Obecnie mam nawet nieco więcej, lecz resztę pozostawiam do następnego. Gorzej z terminowym wysyłaniem. Ostatnio jestem mocno zaangażowany w przygotowywanie kaset magnetofonowych. Jakość słaba, ale życiorysy polskich świętych interesują nawet zdrowych, chociaż te kasyty miały być zastrzeżone „tylko dla chorych”

Szczęść Boże!